Rok 1936. 16 sierpnia Nr. 33.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Pochodnie Wiary.

Jak 15-ty lipca 1410 roku, jak 10-ty września 1683 r. — taksamo nieśmiertelny w dziejach naszych pozostanie dzień 15-go sierpnia 1920 r.

Grunwald — to złamanie żelaznej potęgi krzyżackiej, która zamierzała osłabić Polskę tak — by wreszcie łapą drapieżną sięgnąć po upatrzony łup.

Odsiecz wiedeńska — to skrzydlata pomoc hufców naszej husarji, co zdaleka leciały jak orły ku ratunkowi Krzyża, zagrożonego przez wyznawców półksiężyca.

„Cud Wisły“ — to poryw całego narodu, który codopiero odzyskawszy po wiekowej męce utraconą wolność, gotów był raczej życie oddać w ofierze, aniżeli popaść w hańbiącą niewolę bolszewickich tyranów. Toteż od kilkunastoletnich chłopiąt począwszy, a na starcach skończywszy, wszyscy wtedy stanęli do obrony zagrożonej Ojczyzny.

Sił do nierównej walki z zalewającym Polskę potopem hord czerwonych dawała nam gorąca wiara w pomoc Tej, którą od wieków uważaliśmy za swoją Królowę — po stokroć na różnych cudownych ukoronowaną obrazach.

I wielką musiała być ufność nasza w roku 1920, skoro rzeczywiście objawiła Niebieska Pani pomoc Swoją właśnie w dzień tak serdecznie przez cały lud polski obchodzonego Jej święta Wniebowzięcia.

Kiedy bowiem na Matkę Boską Zielną pod same progi stolicy Polski wróg dochodził w nieprzeliczonej masie — naraz bohaterscy jej obrońcy wzmocnieni przypływem nadprzyrodzonej potęgi, odepchnęli od brzegów Wisły najazd bolszewików, którzy od tej chwili, niby porażeni, ponosząc olbrzymią klęskę, zaczęli w popłochu uciekać, jak przed wiekami Szwedzi z pod Jasnej Góry.

Dzieje Polski, idącej do boju za Wiarę i Ojczyznę, zawsze po modłach do Boga i z pieśnią do Bogarodzicy — dowodzą, że ufność w pomoc zaziemską nigdy nie zawodzi narodu. Toteż jak pogrom Krzyżaków przez Jagiełłę; jak obrona Częstochowy przez Kordeckiego; jak ocalenie chrześcijaństwa przez Sobieskiego pod Wiedniem — tak w latach najświeższych, nazwane „Cudem Wisły“ powstrzymanie przez Polskę siłami zbrojnemi narodu pod wodzą Piłsudskiego 15 sierpnia 1920 r. bezbożniczego najazdu na Europę, — będą po wieki przyświecać przyszłym pokoleniom, jako pochodnie Wiary. E. O.

MATKA BOSKA ZIELNA.

Z legend ludowych

Marysia - sierotka o świcie gnała swoje bydełko w pole. Jak tylko wyszła poza wieś i sama znalazła się na ugorze, zaczynała śpiewać swoje rzewne piosenki. Rzewne i smutne, bo to piosenki sieroty, a „swoje“, bo Marysia to, co czuła w swej duszy, w mig układała w pieśń i śpiewała nieraz bardzo pięknie. Bywało często, że drugi raz tej samej piosenki powtórzyć nie umiała,

bo — jak mówiła — już się kajsik podziała.

Jako o to zielsko, co się w rowie kryje,
Tak się o sierotę nikt nie zaturbuje
Biedna ja se biedna, Marysia uboga,
Nie mam już nikogo, jeno Pana Boga;
Jeno Pana Boga i Jego Matusię,
Co bardzo kochają sierotę Marysię.

Tak pewnego dnia śpiewała Marysia, kiedy na okienku w stajni nie było kawałka czarnego chleba, który gospodyni zwykle tam kładła na śniadanie dla pasterki.

Hej! moje cielisie, paście mi się paście,
Ino pamiętajcie we szkodę nie właźcie,
Bo ja se do boru pójdę na borówki,
A wy mi się paście cielisie i krówki.

Marysia zaspokoiła nieco głód borówkami, ale bydełko nie bardzo się jej piosenką przejęło, bo właśnie poszło w szkodę i nabawiło się niebezpiecznej choroby, objadłszy się mokrą koniczyną. Z serca stroskanej pasterki wyrwała się rozpaczliwa skarga:

O rety! rety! jak kwiatula wzdęta,
Co ja też to pocznę, Panieneczko święta!

Patrzy przerażonemi oczętami, a tam z ciemnego boru wyłoniła się jakaś świetlana postać i ręką wskazuje jej kępę zielska. Dziewuszka zerwała je czemprędzej i dała bydełku jeść. Już po niedługiej chwilce spostrzegła, że osowiałe krówki poweselały i raźno ruszyły ku domowi. Zmiarkowała Marysia, że to nikt inny, jeno Matka Boska przyszła jej z pomocą, więc zanuciła w serdecznej podzięce:

Kiejeś mnie Panienko, tak poratowała,
Będę ja Ci codzień piosneczki śpiewała.
Piosneczki śpiewała i wianeczki wiła,
Iżeś mi cudownie krówki uzdrowiła.

A kiedy sobie przypomniała, jak to z powodu swego sieroctwa porównywała się często ze wzgardzonem zielskiem, podczas gdy ono okazało się dobroczynne, — otucha wstąpiła w jej serce, że i ona musi mieć jakiś cel na świecie i zaraz po swojemu ujęła to w ubożuchne rymy:

Skoro takie zielsko kryje w sobie leki,
Pewnikiem wszelakie sieroty, kaleki,
Nieszczęsne biedaki i różne niezdałe,
Stworzył se Bóg wielki też na Swoją chwałę

Myśl ta napełniła ją prawdziwą radością życia, to też poraz pierwszy może wyrwała się z jej duszy wesoła piosenka:

Co mi tam, żem biedna, że nie mam nikogo
Kiej mi to na wnętrzu tak raźno, tak błogo.
Nic się nie turbuję, bo się o mnie troska
Królowa Niebieska, sama Matka Boska
I chociażbym żyła o prośzanym chlebie,
Kiej pomrę, to będę królowała w niebie.

Od owej pory pogardzane zielsko stało się środkiem leczniczym nietylko dla zwierząt, ale i dla ludzi na dowód, że Pan Bóg niczego nie stworzył bez celu.

W dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny Marji lud niesie do poświęcenia naręcza wonnego ziela, wierząc w jego skuteczną moc w razie nieszczęścia, jakiem dla gospodarza bywa choroba dobytku.

Siostra M. K.

Zdrowaś Maryjo!

(Z wierszyków małej góralki w Zawoi)

Zdrowaś Maryjo, Królowo nieba,
Dziś z ziemi wzięta, wysłuchać chciej:
Weź nas pod Twoją opiekę świętą
I zawsze o nas staranie miej.
Królowo nieba, Anielska Pani,
Do Syna Swego módl się za nami!

Zdrowaś Maryjo, Panno najczystsza,
Sam Bóg tem słowem dziś wita Cię,
Bo On Cię głosi Panią Anielską,
Gdy Słowo Boże w Twe łono śle.
O, Matko nasza nad aniołami,
Do Syna Swego módl się za nami!

Zdrowaś Maryjo, Anielska Pani.
Tem słowem Syn Twój pozdrawia Ciebie
Pójdź Matko moja do wiecznej chwały —
Królową bądź i Panią w niebie.
O, Matko Boża nad aniołami,
Do Syna Swego módl się za nami.

Zdrowaś Maryjo, Anielska Pani.
Pozdrawia Ciebie tak sam Duch Święty,
Oblubienico Ducha Bożego.
On wybrał Ciebie — Bóg w Trójcy [Świętej.
Królowo Świętych nad aniołami,
Do Syna Swego módl się za nami.

Zdrowaś Maryjo, Anielska Pani,
Chóry aniołów witają Ciebie.
Nad wszystkich Świętych Tyś wywyż-
[szona —
Któż pojąć może chwałę Twą w niebie!
Panno najświętsza nad aniołami,
Do Syna Swego módl się za nami!

Zdrowaś Maryjo, Anielska Pani,
Kościół dziś święty brzmi chwałą Twą,
Bośmy są wszyscy Twoi poddani,
Przyjmij nas, Matko, na własność Swą
I nie pogardzaj ludu prośbami,
Do Syna Swego módl się za nami!

Bolesława Zimmermanówna

Coś niecoś o spadochronach.

Niestety, jeszcze prawie każdy lot aeroplanem nie jest zupełnie pewny i bezpieczny i dlatego lotnicy zaopatrują się na podróż powietrzną w spadochrony, które umożliwiają łagodniejsze spadanie z góry na ziemię. Do używania ich w razie potrzeby muszą się lotnicy przygotowywać odpowiedniemi ćwiczeniami, które wymagają dużo zręczności i odwagi.

Ćwiczenia te zaczynają się od skoku z wieży, umyślnie na ten cel zbudowanej z żelaza lub drzewa. Ma ona na wysokości 20 metrów, rodzaj ganeczka do skoków, do których przyszli spadochroniarze ćwiczą się na zwykłym trapezie, tak, jak to czynią cyrkowcy i wogóle gimnastycy.

Bardzo ważną n. p. sprawą jest układ nóg, które przy lądowaniu należy trzymać razem, przy sobie, gdyż skok z nogami rozstawionemi grozi zwichnięciem ich, a nawet połamaniem. Lądowanie zaś na plecach może wywołać niebezpieczny wstrząs całego ciała, w szczególności głowy.

Pierwszy skok — po należytem przygotowaniu na trapezie i poznaniu wszelkich wiadomości w tej dziedzinie, robi uczeń z wysokości około 20-metrowej, a trwa on zaledwie 4 do 5 sekund. Następnie idzie skok z 28 - metrowej wysokości, potem z jeszcze większej, wreszcie z 60 - metrowej, a wtedy już skoczek wyskakuje z umieszczonej tam w tym celu kabiny samolotu. Linki, na których trzyma się człowiek, są o wiele dłuższe i podchwytują skoczka dopiero po bezwładnem opadnięciu w przepaść powietrzną na kilka metrów; wtedy to spadochron otwiera się sam, jak parasol.

Jak zatem widzimy, dużo trzeba mieć zimnej krwi, aby nietylko powierzyć swe życie potężnej maszynie latającej, ale temwięcej, aby w chwili grożącego jej niebezpieczeństwa umieć się z niej wydostać i oddać się w rozporządzenie tak słabemu na oko przyrządowi, jakim jest spadochron. Czyż niejednemu z Czytelników nie wyda się on zwykłym parasolem od deszczu, z pomocą którego nikt przecież nie odważyłby się spuszczać nawet z nie tak znacznej wysokości. A jednak... ten niepozorny spadochron, iluż lotnikom uratował życie!

Obecnie w Rosji sowieckiej każdy obywatel musi umieć używać spadochronu, to też spadochroniarstwo stało się tam pewnego rodzaju sportem, jak n. p. narciarstwo. Bywają tam miejsca, gdzie opada na ziemię z powietrza naraz po kilkaset osób.



W Polsce będzie teraz zbudowana do ćwiczeń w spadochroniarstwie wieża metalowa w Warszawie.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marjan Warta.

(Ciąg dalszy)

— Tyle razy prosiłam cię, Weronko, żebyś ich psami i szakalami nie przezywała. Uszanuj i w nich człowieka. Czyby ci było przyjemnie, gdybyś słyszała w ustach Moskala coś podobnego o Polakach?

Weronka podniosła głowę z nad garnków i spojrzała na swoją panią takim wzrokiem, jakgdyby chciała powiedzieć, że pojąć nie może, dlaczego Marta, żona i matka powstańców, staje w obronie najeźdźców ziemi rodzinnej.

— Ja ciebie, dziecko, rozumiem — rzekła łagodnie pani, widząc to spojrzenie, — wiem dobrze, jak gorąco kochasz swój kraj i swoich braci i nie wątpię, że gdybyś jak ja, miała synów, tobyś ich sama posłała na pole walki bronić ukochanej wolności, którą nam odebrali. Ale to jeszcze nie powód, byśmy z miłości dla własnej ojczyzny mieli pałać nienawiścią względem nieprzyjaciół, którzy, myśląc po swojemu, może również serdecznie, jak my, kochają swoją ojczyznę.

Dziewczyna w milczeniu pracując dalej, zaczęła nad tem rozmyślać, jak można kochać swoich, a zarazem nie chować w sercu nienawiści do tego, który im wolność odbiera...

Wtem rozległo się gwałtowne kołatanie u głównej bramy. Jeszcze Weronika nie zdążyła ku bramie poskoczyć, gdy już pani Marta otwierała ciężką zasuwę.

— Matko! — krzyknął młodzian szesnastoletni, rzucając się jej na szyję.

— Co się stało, Józefie? — jęknęła przerażona kobieta.

— Ścigają mnie... Zamykajcie, prędko zamykajcie — wołał młody powstaniec ku Weronce, a gdy ta furtę we wrotach zamykała, szepnął do matki: Ukryć się muszę...

— Jakto, synu, ty bez konia?

— Przeciwnie, przybyłem tu wierzchem. Ale umyślnie nasz folwark minąłem pędem i dopiero dalej, zeskoczywszy z siodła, zawróciłem pieszo.

— Więc to ty byłeś! — krzyknęła Marta.

— Trzej Moskale gonią w tej chwili moją Strzałę, nie przeczuwając, że klacz spłoszona, leci już bez jeźdźca. Przyczaiłem się za skałą; zresztą kurzawa mnie osłoniła. Pościg minął mnie galopem. Ale koń musi zdradzić mój podstęp: wróci lada chwila, sam trafi do domu. Wtedy folwark cały splondrują, szukając mnie.

Mówił to, idąc z matką na koniec podwórza, zarosłego w tem miejscu gęstemi krzakami.

— Zmiłuj się, tyś ranny! — krzyknęła naraz matka, gdy on wyprzedził ją krokiem, przed jej oczami bowiem ukazała się struga krwi, spływająca z pod rogatywki po karku i szarej kurtce młodzieńca.

— E... to coś lekkiego, mamo, nawet nie czuję... Czy tylko krwawych śladów nie zostawiam po ziemi?

— Właśnie, że krwią broczysz. Odkryją twoje schronienie, śledząc po czerwonym tropie.

Wtedy młody żołnierz spiesznie zawrócił aż ku bramie, znacząc swoje powrotne kroki jeszcze większemi plamami krwi po kamieniach dziedzińca.

Przy samej bramie chwycił z rąk Weroniki grubą ścierkę i przycisnąwszy ją do rany z tyłu głowy powyżej karku, pospieszył za matką, już nowych śladów czerwonych nie robiąc.

Tymczasem pani Marta przy studni napełniała wodą duży garnek. Podjęła go z ziemi i niosąc, poszła w milczeniu za synem, który wcisnął się w największą gęstwinę krzaków.

(Ciąg dalszy nastąpi)